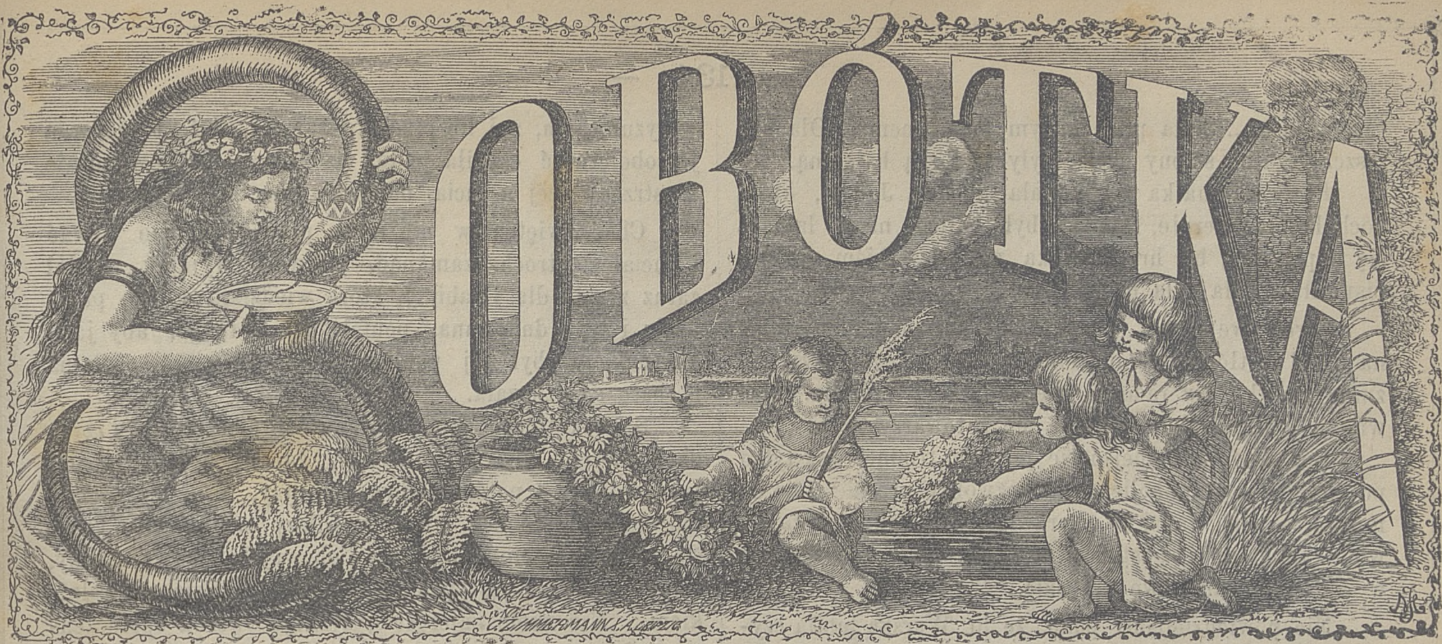




# TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

**№ 17. Poznań, dnia 24 Kwietnia 1869. Rok. I.**


## W MĘTNÉJ WODZIE.

### Obrazki współczesne

przez **J. I. Kraszewskiego.**

(Dalszy ciąg.)

Tegoż samego wieczora, przyjmowała u siebie po raz pierwszy, otworzywszy salon w mieście, pani hrabina Wartska, świeżo-ze wsi przybyła.

Hrabina nie była bardzo bliską sąsiadką nieboszczki Podkomorzynéj, wszakże należała do tego koła, w którém ona żyła... Zjeżdżały się do jednego parafialnego kościoła, bywały u siebie, a że bardzo jakieś dalekie zachodziło pokrewieństwo pomiędzy domem Wartskich a Młyńskich, zachowywano stósunki, choć one nigdy zbet poufałemi nie były. Nieboszczka Podkomorzyna, osoba w wieku, bez przesady mogła się nazwać jedną z tych staropolskich matron, które za wzór postawić było można. Wielkiéj powagi i świętości obyczajów. pobożna bez fanatyzmu, nie na okaz i dla ludzi, religijna duchem nie formą. Podkomorzyna była cichą, skromną, czynną i pełną prostoty...

Kuzynka Wartska, nie dawno owdowiała, któréj przymiotom świetnym wszyscy i najpierwsza Podkomorzyna oddawała sprawiedliwość — była innego wcale temperamentu. Była to osoba światowa, jak się wyrażają po klasztorach, lubiła się bawić, świecić, świetnie ubierać i grać pewną rolę. Niemogła zapomnieć, że była niegdyś bardzo piękną, a teraz jeszcze została przystojną i miłą, nie umiała i niechciała zestarzeć. Tytuł hrabiowski Wartskich wziął się jakoś za życia męża, nie wiedzieć zkąd, ale został przyjęty i uznany. Znaczne dobra go usprawiedliwiały, a że nieboszczyk mąż był gospodarny, poczciwy hreczkosiéj, mówiono nawet, że zostawił kapitały. Jedyna córka Wartskich wychowała się w klasztorze.. po śmierci ojca wróciła do domu.

Gdy powiemy, że była istotą zachwycającą, czytelniki i czytelniczki posądzą, że z niéj heroinę powieści uczynić chcemy; mogą się omylić — a jednak nie podobna inaczéj powiedzieć o Jadzi, tylko, że w istocie cudną była dzieweczką.

Piękność stanowiła jedną z mniejszych jéj zalet, ale dziwna rzecz, ten klasztór, na którego wychowanie tyle mówią... podziałał na nią w sposób najszczęśliwszy. Była to widać roślina, która za szkłem potrzebowała być pielęgnowaną, aby nic z woni i blasku nie stracić. — Tę świeżość uczuć, wrażeń, tę prostotę i naiwność, którą pobyt na wsi, nieustanne z prozą życia stykanie się — ściera, Jadzia zachowała, przywiozła z sobą... i zachwycała nią wszystkich.

Umiała wiele, czytała chciwie, ale rzeczywisty swiat był dla niéj zabawką, ciekawością, widowiskiem niezmiernego zajęcia. Bawiła się wszystkiém, zachwycała ją rzecz najprostsza, radowała się powietrzu, wiośnie, słońcu — a cóż dopiero nowym twarzom, ludziom i charakterom.

Wielkie umysłowe wykształcenie najdziwniéj łączyło się w niéj z tém dziewictwem wyobraźni, serca... duszy, które niezmierny urok nadaje kobiecie. Typ podobny Jadzi nie raz może wydaje wychowanie klasztorne, ale nigdy piękniejszego nie wytworzyło nad nią.

To też wśród świata dziewic znudzonych w piętnastym roku schorowanych na duszy, rozczarowanych w ośmnastym, w dwudziestym chłodnych i zepsutych, a po nich już uwiędłych i zrozpaczonych, — Jadzia ze swém promieniejącém czołem, uśmiechniętemi usty,

czystą duszą... była prawdziwym fenomenem. Dla niéj jeszcze czarne strony życia, były historyą bajeczną.

Pierwsza matka zachwycała się swą Jadzią, którą kochała niezmiernie, ale to była miłość nieco lubiąca się popisywać, bo hr. Wartska we wszystkiém się popisywała... cała żyła na zewnątrz.

Serce swe nawet zdawała się trzymać nieustannie na dłoni i tłómaczyć ludziom fizyologią jego. Czy doznała smutku czy radości, niepokoju czy nadziei... mówiła o tém szeroko i dzieliła się z towarzystwem.

Bez niego téż obejść się jéj było trudno. Jak tylko po śmierci męża, okoliczności dozwoliły przenieść się do miasta, a wiek Jadzi to usprawiedliwił, najęła skwapliwie kamienicę i postanowiła zamieszkać... wchodząc w wyższe towarzystwo miejskie.

Nie powiedzieliśmy pono, że hr. Warska lubiła czytać bez wyboru, niezmiernie wiele, że się zajmowała literaturą, tłómaczyła, pisała wiersze... i miała słabostkę autorską.

Autorstwo zaś, gdy jest tylko słabością, wymaga słuchaczów, czytelników, koła pewnego admiratorów, amfiteatru...

Hr. Wartska, jakkolwiek religijna — nie należała do przesadzenie ortotodoksyjnych, próbowano ją wciągnąć do stronnictwa tego... ale okazało się to niepodobieństwem, gdyż miała już niektóre przekonania liberalne... nie dające się pod strychulce ortodoksyi podciągnąć. — Została więc katoliczką gorliwą... ale ściślejszéj obserwancyi podejrzaną. Niechciała się dać przekonać, żeby czytanie V. Hugo, mogło być grzechem, współczucie dla Lamennais'ego zbrodnią i zapał dla jedności Włoch świętokradztwem.

Hr. Wartska miała lat trzydzieści kilka, Jadwisia osiemnaście, ale gdy przy sobie stanęła wieczorem, można je było wziąć za dwie siostry, z których jedna już piła z czary żywota, druga się do niej uśmiechała. Byli nawet mężczyzni, którym rozwinięte w pełni wdzięki Hrabinéj więcéj przypadały do serca, niż na pół rozwity pączek...

Świętosław od powrotu Jadzi z klasztoru widywał dosyć często kuzynkę, ale jakkolwiek młody zapaleniec, marzyciel, nie zakochał się w niéj jeszcze.

Może się to wydawać dziwném, nie przeczę, ale tak było. On sam się temu dziwił nawet. Wprawdzie znali się od dzieciństwa, bawili się jeszcze niegdyś w piasku i ogródku razem, co potém miłość czyni trudną, ale przez lat kilka, gdy on był w szkołach, ona w klasztorze stronili się z oczów, i gdy się na nowo spotkali, była to prawie znajomość świeża... A jednak ani on na niéj, ani ona na nim nie uczyniła tego wrażenia, które się miłością nazywa.

Sławek znajdował ją prześliczną, lubił z nią mówić... bawił się w jéj towarzystwie doskonale; ale ani tęsknił za nią bardzo, ani się czuł poruszonym, gdy ją zobaczył. Ona przybiegała do niego bez rumieńca, spokojna, wesoła i nie było ani wzdychanie do księżyca, ani łez, ani zasuszonych kwiatków, ani rękawiczek kradzionych... Słowem téj dobréj przyjaźni kuzynków brakło dramatu i zwykłego przyboru miłosnego.

Hrabina spoglądała na te stosunki zdaleka, ani faworyzując ich, ani im przeszkadzając... Może ta pozorna jéj obojętność czyniła je tak oziębłemi, nic bowiem nie zaostrza więcéj uczucia nad stawione mu przeszkody.

Choć Świętosław nie miał prawie nigdzie bywać i chciał się trochę zamknąć, pierwszy wyjątek musiał zaraz zrobić dla Hrabinéj, która wiedziała o jego przybyciu i tego dnia rana, poufale wezwała go, aby jako kuzynek, przybył jéj pomagać, bo się kilka osób na herbatę spodziewała.

Sławek trochę pomruczał na ten nieszczęśliwy zbieg okoliczności, gdyż przewidywał, że się będzie musiał prezentować, a potém oddawać wizyty, a potém przyjmować zaproszenia... Raz wpadłszy w ten wir, który się zowie światem, mający swe obowiązki, prawa, formy, człowiek już nie jest panem siebie, staje się niewolnikiem. Nie wiele najczęściéj zyskuje wśród społeczeństwa, które się do obowiązków nie poczuwa i chce się wyzyskiwać tylko wzajemnie, często traci oprócz czasu, spokój, wiarę u ludzi... ale nie mniéj są położenia, w których od towarzyskich stósunków zwolnić się niepodobna.

Sławek nie obrachowywał może tak głęboko następstw, nudziło go tylko poddaństwo, frak, białe rękawiczki, żargon salonu, jego rozmowy, wolał książkę i poufałą gawędkę, ale cóż było robić?

Kazano mu się stawić na ósmą! O saméj ósméj Sławek regularny, jak zegarek, we fraku, który mu zawadzał, w paliowych rękawiczkach, które podarł, kładnąc stał na progu mieszkania hrabinéj, oświeconego wspaniale i pierwszy wszedł do pustego salonu, wykwintnie umeblowanego.

Czekały nań fotograficzne albumy na stole, kilka książek przywiezionych z domu, gazety i broszury, których u hrabinéj nigdy nie brakło, gdyż miała słabość najpierwsza posiadać nowości, pierwsza je czytać i mówić o nich.

W salonie było cudzo, chłodno, smutno, świece się paliły, maleńki ogień na kominku... zwierciadła urzędowe odbijały mu jego własną fizyonomią znudzoną i paliowe rękawiczki... aż do uprzykrzenia... Już chciał siąść do albumów, gdy zaszeleściła suknia jedwabna i powol zapinając na ręce bransoletę, weszła hrabina z twarzą gospodyni domu przed wielkim wieczorem, zmęczoną zafrasowaną, zakłopotaną...

— Jakiżeś ty dobry, żeś przyszedł, zawołała ochrypłym nieco głosem pani, przeglądając się naprzód w zwierciadle, powiem ci że... jakkolwiek śmiała jakoś przed tym pierwszym wieczorem miejskim, straciłam odwagę.. Będziesz mi trochę gospodarzył.

Wiesz, jak się boję śmieszności, wiesz, jak ci ludzie wyszukiwać ją lubią — a śmieszność zabija... Tu w mieście dom nowy, ludzie nowi, a jak się z tego wybrnie.

— Kuzynko dobrodziejko — ale po cóż w to brnąć? zapytał Sławek.

— Po co? dobry jesteś — a Jadzia?

— Jadzia? czyż jéj to na co potrzebne —

— Przecież ją trzeba ludziom pokazać.

— Czy ludzi jéj? spytał spytał Sławek.

— Jedno i drugie, odpowiedziała hrabina, zresztą i ja potrzebowałam się rozerwać, odżywić...

— A więc — tout est pour le mieux, dans

le meilleur des mondes... uśmiechnął się Sławek, pocóż strach?

— Bo strach, do wszystkiego ludzkiego przymięszać się musi! westchnęła hrabina. — Strach to... to coś nieznanego, niespodziewanego — co spada na nas, jadeszcz kamienisty...

— Ale bo tu przynajmniéj nie ma się czego obawiać... Wszak nie będzie nikogo prócz dawnych znajomych, poufałe kółko...? spytał Młyński.

— A dawni znojomi, czy dawne czy nowe przyniosą nam serca i twarze? zawołała hrabina smutnie.

— Cóż się z Jadzią dzieje? zapytał, chcąc przerwać te smutki Sławek...

— Ubrana od godziny, ale zaczytała się niewiem w jakiéj książce, bo ja jéj już teraz wszystko czytać pozwalam i ani ją oderwać... To tak, powiadam ci we wszystkiém z nią... jak się zajmie czém... pochłonie ją całą!

— Ale że ją wszystko tak zajmuje, zaśmiał się Sławek, niema niebezpieczeństwa.

Hrabina bystro spojrzała na niego.

— Cóż ty robisz? zapytała.

— Ja jestem trochę, jak Jadzia, rzekł, śmiejąc się, młody człowiek, przyznam się kuzynce, że i mnie tak po młodemu ciągnie i zachwyca wszystko... oprócz ceremonialnych herbat... dodał cicho.

— Masz mi za złe, żem cię prosiła? spoglądając nań spytała hrabina... a ty dziczku! na twojém miejscu każdy inny miałby się za bardzo szczęśliwego.

— Ale i ja bardzo jestem szczęśliwy, dopóki tu nikogo niema...

W tém dzwonek dał się słyszeć u drzwi, a hrabina postąpiła ku progowi...

Po szeleście sukni... poznać było łatwo, jedno z tych tryumfalnych wnijść niewieścich... dla których drzwi się na rozcież otwierają.

Jakoż wtoczyła się raczéj, niż weszła na salon w czarnéj atłasowéj sukni, podżyła, otyła, poważna osoba.. z krzyżem na szyi i rodzajem różańca zamiast bransolety na ręku... Trzy rzędy prawdziwych pereł, spięte serwoarem brylantowym na szyi, okraszały pozycyą socyalną hrabinéj Drejss, z domu księżniczki P. —

Za hrabiną szła chuda, słusna, w okularach, kuzynka jéj, panna Koralia S.... i pan Sopoćko...

Całe to gronko, którego nie prosić nie było można, które się przystawiło tak grzecznie a zawczasu — należało właśnie, jeśli nie do jawnych, to do nieuchronnych w przyszłości antagonistów salonu hrabinéj Wartskiéj.

Może dla tego w progu witano się jak najczuléj, śmiano się tak sucho a tak uporczywie, ściskano, dopytywano o zdrowię... (wszystko to naturalnie po francusku, gdyż hr. Drejss mówiła źle po polsku, et la langue ne lui etait pas familière...)

Sopoćko miał minę uroczystą, urzędnika pogrzebowego, przychodzącego brać miarę na trumnę, panna Karolia oczyma sięgała po najciemniejszych kątkach..a hrabina upatrywała już sobie miejsca honorowego, pryncypalnego, bo z pokory chrześcijańskiéj zapewne, nikomu się posiąść niedawała, a gdzie niemiała pierwszego miejsca... wychodziła zaraz, skarżąc się na ból głowy. Zasiadła téż na kanapie, jako królowa i władczyni.

Sopoćce musiał się przypomnieć Młyński, ale apostoł przyjął go z wyrachowaną grzecznością; zimną i surową. Na te preliminaria wpadła zarumieniona czytaniem, uśmiechająca się, choć oczy miała jakby po świeżych łzach Jadwisia... bardzo pokornie przypadając dla powitania Drejssowéj (co ją ujęło) serdecznie ściskając pannę Karolię, co mogło groźném być dla jéj złotych okularów i ślicznie dygając Sopoćce, który zdala się odkłonił ostrożnie i niezgrabnie.

Z Jadzią życie i ciepło weszło do salonu.. ale u drzwi zaczęto dzwonić a dzwonić, wchodziły panie, panowie, panny... Między innemi do niepoznania wyfryzowany, wypomadowany i wysznurowany pan Samuel... Towarzystwo podzieliło się na małe gronka, rozmowa się rozprysła, ale przedmiotów do niéj nie brakło...

Mówiono około kanapy o Bollandystach, których skróceniem zajmowała się panna Karolia.. Sopoćko o hr. Montalambercie.. Pan Samuel o koniach, a Jadzia o kwiatkach.. Wszystko to chwilami mięszało się razem...

Pani domu chciała coś zacząć o ostatnim dziele V. Hugo, ale wzmiankę powitano milczeniem złowrogiem...

Sławek pomagał, jak mógł, w gospodarstwie...

Dawano herbatę, gdy się do niego pochylił Samuel szepnął mu.

— A cóż? widziałeś Lenę?

— Ja? nie —

— Byłem pewny, że do ciebie poleci, bo wczoraj już wiedziała o twojém przybyciu.. W pierwszéj chwili zarumieniła się porwała.. chciała opłacić nie wiem czém bukiet aster, ażeby ci go zawieść, ale jéj nagle ręce opadły.. A! nie zawołała — nie mogę zrobić tego, co serce pragnie! Całe miasto by jutro mówiło o tém i mój dobroczyńca byłby — skompromitowany... Największą dlań uczynię ofiarę.. nie pójdę.

— I zrobiła to, rzekł Sławek.. bom jéj nie widział.

— Ale przez litość powinieneś sam ją poszukać.. odparł Samuel.

Młyński ruszył ramionami.

— Kochany Samielu, rzekł mu, (bo tak się w szkołach nazywali) — nie sądź, bym był łakomy skandalu.. trzpiotowstwa i roztrzpiotanéj wdzięczności dowodów.. Serca nie mogę zmienić, jak wy na drobną monetę zdawkową — a skandalu na zimno tworzyć nie chcę.

Samjel popatrzał nań i rzekł:

— Jesteś jak na nowicyusza do zbytku ostrożny.. ale masz słuszność! masz słuszność! cicho!.. milczę.

I ścisnął go za rękę..

— Sopoćko krąży koło ciebie, ręczę, że ma ci coś do powiedzenia.. jest to u nas potęga.. ostrzegam.

P. Samuel, który potęgi szanować umiał, usunął się zaraz, ustępując panu Sopoćce, który — jak przewidywał, przysiadł się zaraz do Sławka..

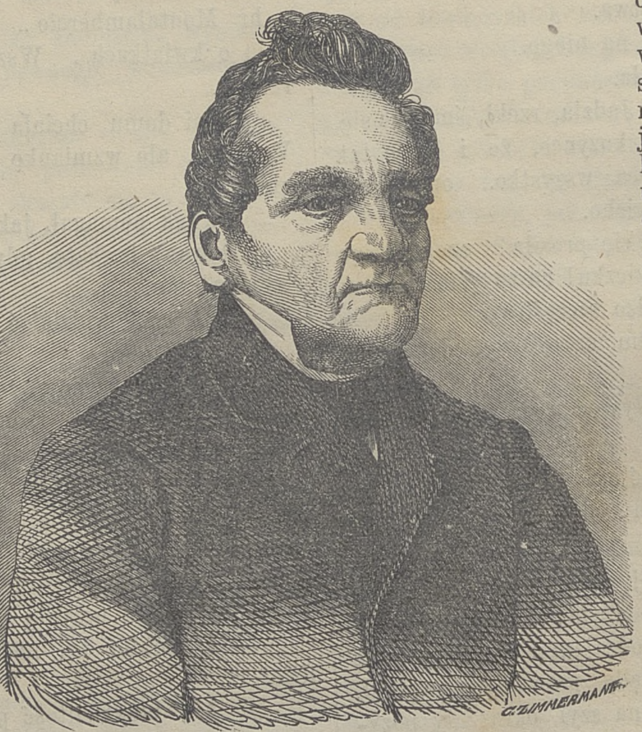
(Ciąg dalszy nastąpi.)

# Karól Libelt.

(Z ryciną.)

„Narody mają dwie drogi do rozwoju, mówił Karol Libelt przed niewielu dniami we Lwowie na uczcie danéj na cześć jego, „samoistość bytu polity„cznego i życie umysłowe. My pozbawieni swobody „mamy święty obowiązek pracować jak najusilniéj nad, „rozwojem sił narodowych na tém drugiém polu.“ Lecz jakżeż to trudno pracować u nas na naukowém polu. Jeżeli nieszczęśliwe nasze położenie niszczy szczęście rodzinne, jak to powiedział nasz wielki poeta, to nie-mniéj zakłóca ono potrzebny uczonemu spokój, gdy co chwila niebezpieczeństwo grożące narodowi, jego istnieniu, językowi, obyczajowi i wierze, odwołuje go od cichéj naukowéj pracy na pole politycznych walk, już to orężem, już to słowem i piórem toczonych. Kiedy staréj rzeczypospolitéj rzymskiéj groziło niebezpieczeństwo, napominano wtedy naczelników państwa do tém większéj troskliwości uroczystemi słowy: niechaj baczą konsulowie, by rzeczpospolita snać jakiéj szkody nieponiosła. Od nas i na chwilę nie ustępuje niebezpieczeństwo, nam bezustannie brzmią w uszach owe słowa, a konsulem u nas być każdemu, u kogo się talent z nauką połączył i czyje serce nie głuche na głos nieszczęść ojczyzny. Takiemu wypadnie być żołnierzem i mężem stanu, będzie musiał myśleć o oświacie ludu i podniesieniu przemysłu i o bankach dla ratowania wielkich posiadłości; — ile potrzeb narodu, tyle poruczeń na jego głowie. Ileż potrzeba talentu, aby podołać tym obowiązkom, ile wytrwałości i poświęcenia, aby wytrwać na téj drodze. Niechaj zaś nikt nie liczy na nagrody za swoje trudy i owszem, nieraz przyjdzie dać krwawe świadectwo swéj wiary narodowéj. „Ojczyzna“, czytamy w artykule o miłości ojczyzny, „woła na nas słowami Schillera: Odpłacę kiedyś Ci na drugim świecie.“ A nawzajem ojczyznie obowiązany jesteś oddać wszystko, marzenia i miłość twoją, pracę i życie: wtedy będzie można powiedzieć o tobie, że dobrze się zasłużyłeś ojczyźnie.

Te pełne znaczenia słowa z całą słusznością wyrzec możemy o mężu, którego portret obok umieściliśmy. Karol Libelt dobrze się zasłużył ojczyźnie! Od najmłodszych lat swoich stał wiernie na straży sprawy narodowéj, któréj służył jako żołnierz, uczony, publicysta, mąż stanu, ziemianin. Któż nie czytał jego dzieł, kogo z nas nie elektryzowały jego pełne natchnienia myśli o miłości ojczyzny, albo o odwadze cywilnéj, owe dwa artykuły, które same jedne, gdyby nic więcéj był nie napisał, byłyby mu zjednały wdzięczność i poszanowanie narodu.



Karól Libelt.

Urodził się Karol Libelt w Poznaniu, w r. 1807, a ukończywszy szkoły, udał się w r. 1825 na uniwersytet do Berlina, gdzie się przedewszystkiém matematycznym i filozoficznym poświęcał studyom, które w r. 1829 świetną rozprawę o Spinozie, złotym uwieńczony medalem, ukończył. Na pierwszą wieść o powstaniu listopadowém pospieszył młody doktor filozofii z Paryża, gdzie się chwilowo znajdował, do Warszawy i wstąpiwszy w szeregi odbył całą kampanią 1831 r. Po upadku rewolucyi powrócił do Księstwa, a usunięty w skutek swego udziału w powstaniu od urzędów, oddał się zupełnie literaturze. Wtedy to, mianowicie od r. 1838—46 pojawiły się owe artykuły o miłości ojczyzny i o odwadze cywilnéj, wtedy ogłosił Filozofią i Krytykę i setki innych artykułów, w których rozszerzał światło i ożywiał ducha narodowego. — Wypadki r. 1846 wtrąciły go do więzienia, ale i tam nieupadł na duchu i z poza krat więziennych przesłał pozdrowienie do braci, które mówiło o lepszych da Pan Bóg czasach, mówimy o „Dziewicy Orleańskiéj.“ Rok 1848 wydobył go z więzienia i postawił na czoło poznańskiego ruchu, a po upadku tegoż, jak i po rozwianiu się nadziei, które rok 1849 zapowiadał, udał się Libelt na wieś, gdzie oddał się pracy około roli i dumaniom filozoficznym, których rezultatem była Estetyka. Później powołany zaufaniem swych współziomków na sejm berliński bronił tamże praw narodowych, a jak odpowiedział położonemu w nim zaufaniu najlepszym dowodem to, iż aż do obecnego czasu bezustannie wybieranym bywa. — W r. 1863 oddał w ofierze krajowi to, co miał najdroższego, oddał mu syna swego, a gdy mu o śmierci tegoż doniesiono, pocieszał płaczącą matkę słowami godnemi Rzymianina: na tośmy go wychowali!

Wiarą i nadzieją w przyszłość ojczyzny przepełniają tacy mężowie, bo czyż może zginąć naród, który takich wydaje synów! A pocieszającą przytém, że naród umie ocenić i uszanować tych przodowników swoich. Przyjęcie świetne, jakiego doznał Karol Libelt w przeszłym tygodniu we Lwowie, cześć, jaką go tam otoczyły wszystkie warstwy społeczeństwa i wszystkie partye polityczne, dają nam miarę tak ogólnego uznania, jakie sobie zjednał w całéj Polsce, jak długa i szeroka, jak i patryotyzmu Lwowian, nieoglądających się na żadne prowincyonalizmy i partykularności. Dała nam dobry przykład stolica Czerwonéj Rusi — Bóg zapłać jéj za to!

# Kościół katedralny w Poznaniu.

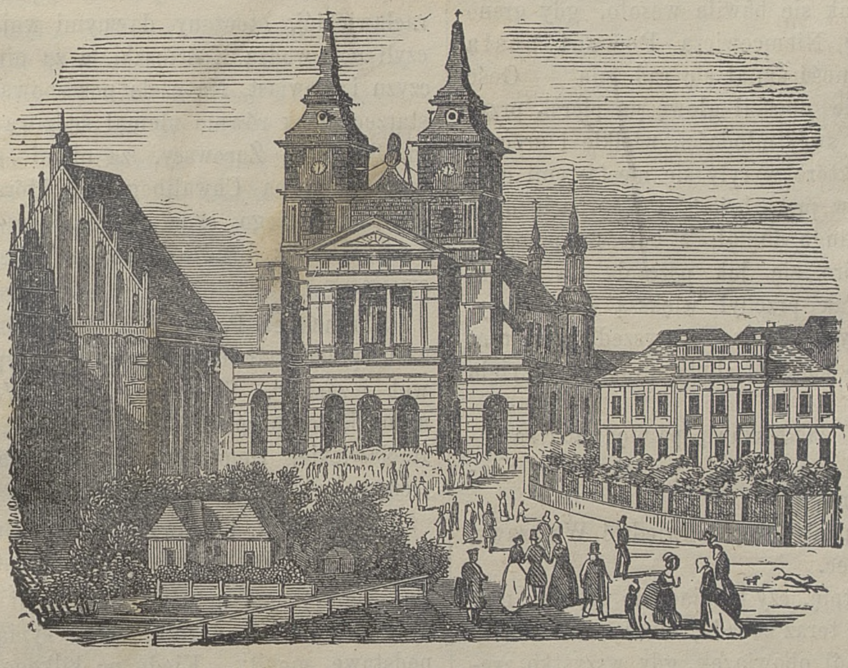
(Z ryciną.)

Kościół ten został założony przez króla Mieczysława I w r. 966. Roku 1253 kazał biskup Bogufał chór przebudować, r. 1572 znacznie uszkodzony kazał wyrestaurować biskup Czarnkowski, a jego następca Łukasz Kościelski wzmocnić sufit i główne ściany. Roku 1622 dnia 30 lipca zgorzał cały przez nieostrożność lu-

dzi sporządzających dach. Na jego odbudowanie poświęciła ówczesna kapituła znaczną część skarbca, funduszów seminaryum duchownego, i całoroczny dochód biskupstwa po śmierci biskupa Opalińskiego. Nadto biskup Wężyk dał 4,000 złp., kanonik Andrzéj Szółdrski 2,000 złp., tenże dokończył także budowy świątyni za swego biskupstwa 1636 r. Przez burzę 1725 r. mocno uszkodzona, straciła wieżę i dach, a r. 1754 została zupełnie zamkniętą, bo groziła upadkiem. W roku 1772 dnia 30 września znowu wybuchnął ogień i zniszczył dach, wieżę, zgoła wszystko oprócz kilku kaplic. Roku 1790 zawaliła się wieża i sprawiła znaczne zniszczenie. Dnia 29 listopada 1853 wybuchł znowu wielki pożar, który zniszczył piękne malatury sklepienia przedstawiające Błogosławionych i Świętych narodu polskiego a dokonane za staraniem arcybiskupa Przyłuskiego. — Przed rokiem 1502 miała katedra poznańska tylko jednę, odtąd dwie a od r. 1639 pięć wież.

Kościół ten posiadał niewątpliwie najdawniejsze i drogocenne pamiątki, z których część zaginęła, między innemi pomnik sławnego lekarza Józefa Strusia. Już przed rokiem 1570 istniała kaplica Górków, (dziś Krzyża św.) w któréj Andrzej Górka poustawiał marmurowe nagrobki Powodowskich, Gwiazdowskich, Rydzyńskich, Kostków, Bnińskich, Czarnkowskich. Wspomnieć należy także o nagrobkach kanonika Bernarda Lubrańskiego († 1499), Łukasza Górki, wojewody poznańskiego († 1475) z płyty spiżowéj, Andrzeja Grodzickiego, dr. medycyny († 1550), biskupa Nowodworskiego, Wawrzyńca Goślickiego, Łukasza Kościelskiego, Andrzeja Szółdrskiego († 1656), arcybiskupa Dunina, z piaskowca wykonany r. 1846 przez rzeźbiarza Friedricha z Strassburga.

Główniejsze kaplice są: św. Jana Kantego, św. Trójcy z pięknym pomnikiem biskupa Adama Konarskiego († 1574) wykonanym w Krakowie przez włoskiego rzeźbiarza Canevese, Panny Maryi, św. Stanisława, św. Krzyża. Najpiękniejszą jest niewątpliwie kaplica królewska, tak zwana Raczyńskich. Tu spoczywają popioły pierwszych królów naszych, Mieczysława I i Bolesława Chrobrego, które początkowo stały na środku kościoła i przenoszone bywały na rozmaite miejsca, ile razy pożar zagrażał świątyni zniszczeniem. W kaplicy téj stoją dwa wielkie posągi wyobrażające owych królów dłuta sławnego Raucha a wzniesione za staraniem obywatelstwa W. Księstwa Poznańskiego, mianowicie Edwarda Nałęcza hr. Raczyńskiego. Koszta ich wzniesienia wynosiły 53 tysiące talarów. K. K.



**Katedra poznańska.**

# AMERYKANIN.

## Powieść z czasów Kościuszki

napisał **Wł. K. Wójcicki**,

(Dokończenie).

W końcu maja 1818 roku, wyjechał z Willanowa Julian Ursyn Niemcewicz do Odessy. Jeden z noclegów wypadł mu na Wołyniu w Ratnie, gdzie w starym pałacu przemieszkiwała wojewodzina Sosnowska, matrona licząca lat sto trzy wieku. Dotknięta ślepotą, pomnąc dokładnie i żywo wszelkie wspomnienia dawne, nowych pamięć zupełnie utraciła. Sypiała teraz do jedenastéj godziny rano, piła kawę ulubioną w łóżku, poczém wstawała i szła do pokoju, zasiadając do robienia węzełków. Mało co kosztowała obiadu, ale wieczerzę jadła z nadzwyczajnym smakiem i ochotą. Rozmowa przytomnych, granie w bilard, każdy gwar i hałas, bawił ją i rozrywał. Kiedy mówiono o świeżych lub niedawnych wypadkach, milczała, bo wszystko, co było obecnością, już w jéj myśli zamarło, ale każde wspomnienie z lat dawnych, ubiegłych, znajdowało struny w jéj sercu i pamięci, które musiały się odezwać. — Nad sędziwą starością matki, czuwała jéj córka młodsza Ludwika, znana nam już księżna wdowa Lubomirska. Kiedy Niemcewicz przybył do Ratna zaprosiła go do pałacu, ażeby zobaczył jéj matkę: pragnęła i sama odnowić dawną z nim znajomość*).

*) J. U. Niemcewicza: Podróże historyczne po ziemiach polskich. Petersburg 1859 r.

— Miło mi, że widzę pana, mówiła przy powitaniu, przyjaciel Kościuszki wszędzie znaleść musi gościnne przyjęcie. —

— Mościa księżno, odrzekł sędziwy poeta, łzy mi tylko po nim zostały i bolesne wspomnienie. Tyle lat przebyliśmy razem w Polsce i Ameryce, w niewoli i swobodzie a odmówiło mi niebo téj wielkiéj pociechy, ażebym mógł osłodzić ostatnie chwile jego życia. —

— Pragnęłam i ja poświęcić mu swe usługi w téj saméj myśli (mówiła księżna), ale ich nie przyjął! O! nigdy nie zapomnę téj chwili, gdym go ostatni raz widziała. Rok temu prawie, pożegnałam go wieczorem: rano wyjechałam z Solury: o pół mili na skręcie drogi, na małym wzgórku, oczekiwał przybycia mego, aby się pożegnać. Byłto ostatni uścik jego ręki! Jużem go nie zobaczyła więcéj!

Głos jéj drżący ucichł, łzy zalśniły w oczach. —

Niemcewicz wprowadzony na salę, ujrzał niewidomą wojewodzinę, która na wspomnienie jego nazwiska, zaraz przypomniała sobie Kościuszkę, jego starania o rękę Ludwisi, gniew męża hetmana i inne ówczesne wypadki. Wspomniała, jak się bawiła wesoło, gdy grano pierwszy raz komedyę Niemcewicza P o w r ó t p o s ł a i jak sam król Jegomość śmiał się radośnie. — Gość okryty siwizną, smutnie opuścił głowę na piersi, przypominając lata piękněj swéj młodości, wielkie i uroczyste chwile narodowe, które wyryły się niestartemi głoskami w księdze dziejów przeszłości! Po herbacie opuścił pałac osowiały i długo dumał, z boleścią przechodząc wspomnienia, które się jak pszczoły na wiosnę coraz więcéj roiły. Tak przebył większą część nocy. Przed opuszczeniem tych miejsc przyszedł nazajutrz rano z pożegnaniem do księżnéj Lubomirskiéj, przyjęła go w rannym negliżu.

— Dziękuję panu za łaskawą pamięć: matka jeszcze śpi, bo jak wiesz zapewnie, że późno wstaje. Kiedyż się znowu zobaczymy.

— Może księżna pani raczy odwiedzić Warszawę, ja tam stały mieszkaniec.

— Tak rychło wątpię, czy przyjadę do stolicy; matka moja coraz częściéj teraz zapada, muszę czuwać nad ślepą i samotną; to mój obowiązek, gdy wszystko zresztą, com ukochała, w grobie spoczywa!

Niemcewicz ujął jéj zawsze białą i kształtną rękę, i rozrzewniony patrząc na oczy zapłakane, pocałował i odszedł. Wkrótce opuścił Ratno i smutną okolicę piasków, przerosłych sosniną, i błót rozległych.

XXI.

Zwłoki zgasłego bohatyra nabalsamowane w Solurze, przewiezione do Krakowa złożono w kościele świętego Floryana na Kleparzu. Dnia 19 czerwca 1818 roku uroczyście przeniesione zostały do katedry na Wawelu, gdzie Jan Woronicz, ukochany nasz wieszcz i kapłan, odprawił egzekwije, i pełném namaszczenia słowem, uczcił pamięć wielkiego męża.

We dwa lata postanowiono w rocznicę śmierci zacząć sypanie mogiły pod Krakowem, wówczas stolicy małéj Rzeczypospolitéj. Ze wszystkich stron Polski towarzysze broni, przyjaciele i ci, co umieli cenić zasługi zmarłego wodza, bez różnicy stanu, płci i wieku, wszystko się zbiegło na ten obchód uroczysty dnia 15 października 1820 roku.

Z pól Racławickich, na których pierwsze odniósł zwycięztwo, jako wódz powstania 1794 r., a w nim świetnie się odznaczyli kosynierzy krakowscy, przywieziono ziemię, co posłużyła za pierwsze nasypisko mogiły. Na głównem miejscu téj krwawéj walki, w najważniejszém stanowisku ubogi garncarz założył piec do wypalania naczyń; gdy przybyli kłopotali się, że właśnie z tego miejsca powinni wziąść ziemię, garncarz dowiedziawszy się o ich trosce i celu, oddał swój piec jedyny, sam go rozwalił i pomógł do nakopania ziemi.

Rano odgłos wszystkich dzwonów kościelnych zapowiedział uroczystość. Wielki Z y g m u n t z wyniosłéj wieży katedry wawelskiéj, górował potężnym głosem swoim nad wszystkiemi, zdawał się jęczeć żałobliwie nad zgonem tego, co mu dzisiaj wdzięczność narodowa wznieść miała pomnik, trwalszy nad spiżowe posągi.

Jeszcze brzmiał głos jego rzewny i smętny, gdy na przedmieście Zwierzynieckie wjechał wóz pełen ziemi racławickiéj, otoczony dawnymi wojownikami, co walczyli pod wodzą Kościuszki, a za nim szło grono mężczyzn i niewiast. Na czele postępował siwy, jak gołąbek, starzec, obok równie niemal sędziwa matrona. Byli to małżonkowie Żurowscy, za niemi szła Tekla córka teraz zamężna Chwalibogowa, która wiodła za rękę dwunastoletniego syna Józefa, wraz z Zarembą, jego żoną i blisko dwudziestoletnim Tadeuszem, jedynakiem swoim.

Franciszek Paszkowski, jenerał i przyjaciel Kościuszki, przemówił do zebranych, przypominając jego żywot i zasługi. Stanisław hrabia Wodzicki, prezes senatu Rzeczypospolitéj Krakowskiéj, pierwszą taczką Racławickiéj ziemi pokrył urnę kamienną, w któréj złożono opis założenia téj mogiły.

Huk dział i salwy z ręcznéj broni milicyi krakowskiéj zwiastował wszystkim uroczystą chwilę.

Zebrani całym tłumem rzucili się do taczek podług wskazówek dozorujących, sypiąc ziemię, wznosili podstawę mogiły. Kiedy po kilkogodzinnéj pracy, uderzyła chwila spoczynku, każdy podążał w swoję stronę, do koczującego pod pogodném niebem kółka swego.

Prezesostwo Żurowscy zasiedli przy próżnym wozie, a stary kredencerz Walenty, pomimo sędziwego wieku, dobywał z krubki podróżnéj zapasy żywności, kiedy od mogiły, pchając swe taczki, zbliżyły się dwie postacie. Niewiasta poważna wiekiem i grubą żałobą, i starzec pochylony już mocno, ocierając pot z uznojonego czoła.

Zaremba pierwszy wykrzyknął: „To nasz doktór z Międzyborza," a prezes Żurowski zawołał: „To nasza księżna!"

Jakoż nie omylili się, była to księżna Lubomirska i poczciwy Stakenszmitt, którzy z dalekich stron kraju, spotykali się przy jednéj pracy. Żurowscy zaprosili obojga do swego grona. Księżna powitała wszystkich przejmie, a Chwalibogowéj podała rękę i w milczeniu uścisnęła serdecznie.

Skończyły się pierwsze dni obchodu, znajomi nasi opuścili Kraków.

Z klasztoru Panien Norbertanek na Zwierzyńcu, po rannem nabożeństwie wychodziły co dnia przez całe lato i jesień, do pierwszego śniegu, dwie zakonnice, które taczkami nawoziły ziemię, na coraz wyższą mogiłę. Była to z siostrą zakonną Tekla Orlewska, która wstąpiła do zakonu Norbertanek reguły św. Augustyna, gdy zaszła w lata, a narzeczony jéj Kniaziewicz, najpiękniejszą młodość poświęcił usłudze ojczyzny. Wierni pozostali swéj przysiędze wykonanéj w kościele Panny Maryi w Krakowie przed dwudziestu z górą laty: Orlewska przywdziała suknie zakonne, Kniaziewicz osiadł stale w Paryżu i umarł bezżenny.

Kwaśniewski zginął w Hiszpanii przy szturmie do Saragossy, pod dowództwem Chłopickiego; Potocki w kampanii 1812 roku. Na dwa lata przedtém szambelan i starościc Koziegłowski umarł w szpitalu św. Rocha w nędzy, niedostatku i opuszczeniu, a poczciwy doktor Stakenszmitt po powrocie z Krakowa wkrótce zakończył życie w Międzyborzu.

Raciborski po śmierci rodziców żony zamknął sklep w Warszawie, sprzedał kamienicę i kupiwszy wioskę na Podlasiu, przeniósł się do niéj z żoną i dwojgiem dzieci. Zaremba wysłał syna do stolicy Królestwa Polskiego i umieścił w Szkole podchorążych w chwili radosnéj wiadomości, że ukochany Tadeusz awansował na podporucznika do 4go pułku piechoty liniowéj wojsk polskich, zachorzał i umarł. Małżonka przywiązana, niedługo go przeżyła, mając tę wielką dla serca pociechę, że zakończyła życie na ręku ukochanego syna. Księżna Ludwika Lubomirska już spoczywała w grobie.

W pierwszych dniach października 1830 roku, zachorzała ciężko owdowiała pani Tekla z Żurowskich Chwalibogowa. Nadziei ratunku nie dawali doktorzy. Przy łożu umierającéj siedziała w zakonném ubraniu Tekla Orlewska, która na wieść o śmiertelnéj chorobie swojéj przyjaciółki, porzuciła samotną celę w klasztorze Norbertanek krakowskich i przybyła przyjąć jéj ostatnie tchnienie — osłodzić ostatnie godziny życia.

— Którego to dziś? zapytała chora.

— Dziś jest czternastego, odrzekła siostra Tekla, patrząc w kalendarz.

— A więc jutro moja Tekluniu, zakończę moje cierpienia.

— Dla czegoż tak mówisz moja Tociu?

— Bo jutro rocznica jego zgonu i tam w wieczności połączą się nasze dusze.

Mówiła to spokojnym głosem umierająca i z przekonaniem religijném.

— Teraz podaj mi to pudełko. Widzisz Tekluniu, to taż sama piękna czara, którą wyrobił w Międzyborzu i przysłał w darze dla mnie przez poczciwego rotmistrza. Patrz! to jego cyfra *T. K.*

Te powiedziawszy, z ożywioném obliczem przycisnęła ją do ust swoich zsiniałych.

— Weź to i zachowaj moja droga. Listy jego oddałam memu Józiowi. Czekam i czekam na jego przyjazd daremnie.

Nazajutrz siostra Tekla podług żądania choréj odmawiała modlitwy za umierających. Przybyły proboszcz miejscowy udzielił po spowiedzi świętych sakramentów. Chciała pozostać samą ze swą przyjaciółką tylko. Rodzina cała opuściła sypialną komnatę.

— Moja Tekluniu, mówiła coraz cichszym głosem, zapal gromnicę i podaj mi w rękę.

Zakonnica spełniła jéj żądanie.

— A teraz, módl się gorąco za zbawienie moje, i polecaj duszę moją Bogu! Czuję, że życie ucieka! Ratuj mnie Tadeuszu!... Tekluniu!...

Wypadła gromnica ze skostniałéj ręki, i zgasło tak téż zarazem jéj życie.

W tę chwilę zaturkotała bryczka na podwórzu. To jéj syn Józef! przybiega, a widząc martwe zwłoki ukochanéj matki, pada na kolana, oblewa je gorącemi łzami, i omdlałego wynoszą.

Żurowski przeżył jeszcze blisko lat trzy córkę swoję. Pomimo, że liczył około lat 90 wieku, zachował pamięć i czerstwość. Kiedy wnuka swego komu przedstawiał, zwykł po dawnemu zawsze mówić:

— Hoc loco, mam honor Mości Panie, prezentować moję partykułkę.

Obchodził złote wesele z ukochaną swoją panienką. Umarł w roku 1833 i w tymże roku zgasła jego małżonka, nie mogąc przeżyć tak bolesnéj straty!

(Koniec.)

## O tańcach w Polsce.

Od godów w Kanie Gallilejskiéj aż do naszych czasów tak u ludów dzikich, jako téż u ucywilizowanych narodów — w pałacach królów i pod strzechą nędzarza był taniec zawsze i wszędzie ulubioną zabawą towarzyską. Lubiono zawsze taniec w kraju naszym. Bielski w kronice swéj powiada o Popielu II, że gdy dorósł, dali mu za żonę Niemkę, która nim rządziła, o niczém inném nie myśląc, jedno o tańcu. Królowa Anna, żona Kazimierza, tak się bardzo kochała w tańcach, iż gdziekolwiek jechała, zawsze tanecznikow gromady woziła ze sobą. Za Elżbiety, matki Ludwika, brzmiał zamek krakowski muzyką i tańcami. W refektarzu klasztoru franciszkańskiego Jadwiga z fraucymerem i dworzany, z Wilhelmem i Niemcami, tudzież z poufalszymi z Polaków dozwalała sobie tańców i pląsów. Jan Olbracht, Zygmunt August, nawet poważny Stefan Batory lubili tańce i maskarady.

W miarę cywilizacyi, w miarę usposobień i uczuć taniec u różnych narodów różne przybierał cechy.

Ze względu na ich charakter dzielą pospolicie tańce na teatralne, rycerskie, religijno-symboliczne i towarzyskie.

Taniec teatralny czyli balet, od słowa włoskiego baleare tańczyć, ma na celu przedstawienie wyższéj sztuki sceniczno-tancerskiéj, zastósowanéj w ogóle treścią i formą do wymagań i warunków dramatu.

Najdalsze wiadomości o balecie sięgają 1489 r., kiedy go we Włoszech zaprowadził po raz pierwszy Galeazzo, książę medyolański, z powodu małżeństwa swego z Izabellą aragońską. Początkowo brali w nim

udział książęta i książniczki. Łączono go zwykle z innemi sztukami teatralnemi, mianowicie z deklamacyą i śpiewem, z czego wywiązały się później owe charakterystyczne dramata mitologiczno-alegoryczne, fantastyczno-rycerskie i pasterskie. Baltagerini, dyrektor muzyki Katarzyny de Medicis, pierwszy zaprowadził balet we Francyi, gdzie tak przypadł do gustu Francuzom, iż Ludwik XIII i XIV sami kilkakrotnie w nich występowali. Wszakże balet zawsze jeszcze był połączony z komedyą lub operą. Sama sztuka tańca nie miała jeszcze wyrazu dramatycznego i potrzebowała, jak to już mówiliśmy, do objaśnienia śpiewu i deklamacyi. Dopiero w końcu XVIII wieku, nadano mu akcyą dramatyczną. Dziś balet przeniewierzył się poczęści pierwotnemu swemu powołaniu, działając więcéj na rozbudzenie namiętności, aniżeli na podniesienie uczucia.

Balet, w którym zgrabność i układność ruchów w całym okazuje się blasku, jest najwyższą sztuką piękną, to też to jedynie powinien wciągać w zakres swych obrazów, coby godności sztuki nie ubliżało i dało się estetycznie przedstawić. Sztukę baletu do najwyższego stopnia podnieśli Francuzi w XVI wieku. Na scenie zaś warszawskiéj balet pod zarządem moskiewskich jenerałów Rautenstraucha i Abramowicza do tak wysokiego doszedł był stopnia, iż po paryzkim pierwsze w Europie zajmował miejsce. Rządowi moskiewskiemu zależało bardzo wiele na świetności baletu warszawskiego. Zwabiał on nań młodzież warszawską, całą młodzież polską, podsuwał jéj wszelkie środki rozpusty i dążył tym sposobem do tego, ażeby młodzież zdemoralizować i odwieść od poważniejszych myśli, jakiemi się zajmowała młodzież wileńska, na któréj czele stali Zan, Czeczot i inni.

**Tańca rycerskiego** pozostała niejakaś pamiątka w turniejach, kadrylach i maskaradach, które wyprawiano w Polsce i innych krajach na cześć niewiast. W szrankach, w zupełnych zbrojach, niosąc barwy i godła miłości, kruszył wybór rycerstwa kopije, gonił na ostre, aby otrzymać dank z rąk przytomnych dziewic. Przebrana za mitologiczne bóstwa najznakomitsza młodzież bawiła w tryumfalnym obrzędzie damy i wyzyskiwała oklaski pięknych rączek. Polki ochoczo patrzały równie na dowody siły, zręczności i odwagi dzielnego rycerstwa, jak na przepych i bogate orszaki wspaniałych maskarad, ale udziału w nich nie brały, bo je ganiła staropolska surowość obyczajów, a jak mówił dawny poeta Miaskowski:

„Tam wstyd na bardzo śliskim stoi ledzie,
Kędy ślepe w maskarach Wenus tańce wiedzie.
Tam się mieniąc obojga płeć w zdradliwym stoju,
Ma wszystko po swéj woli — i szepty w spokoju;
Tam dziw, jeśli kto swojéj nie powinie nogi,
Obchodząc tam, gdzie wiodą gładkich panien progi.“

Zwyczaj turniejów od najdawniejszych czasów istniał między Polakami. Wspominają go już bajeczne Polski dzieje, gdzie w wyścigach po śmierci Przemysława ćwiekami posiano drogę. Maskary przyszły do nas z Włoch i upowszechniły się prędko; przerobione na sposób narodowy i biorąc za treść zawsze coś historycznego lub mitologicznego, bardzo były lubione. Używano ich powszechnie na weselach i przy festynach królów lub możnych panów.

Gdy po śmierci Rafała Leszczyńskiego Stanisław, późniéj król Polski, objął po ojcu dziedzictwo, był także obecnym, jako nowy dziedzic, na popisie szkoły w Lesznie. Będąc zadowolnionym z postępów młodzieży w naukach, zaprosił całą szkołę i wszystkich nauczycieli na ucztę do siebie. Rektor ówczesny, chcąc uczcić nowego dziedzica, wybrał 13 najzgrabniejszych, najprzystojniejszych i dobrze umiejących tańczyć młodzieńców, ubrał ich po rycersku od stóp do głów z pałaszem w jednéni, a tarczą w drugiém ręku. Każdy z nich na tarczy miał jednę literę. Wystąpili w tańcu, który był rodzajem baletu; — ukończywszy zaś pierwszy taniec, tak w ostatniéj figurze stanęli przed Leszczyńskim, że litery na ich tarczach ułożyły słowa: **Domus Lescinia** (Rodzino Leszczyńskich). Lecz nie długo tak stali; przetańczywszy znów kilka razy, stanęli przed Leszczyńskim w innym porządku, tak iż litery na ich tarczach ułożyły słowa: **omnis es lucida** (cała jesteś świetna). Gdy po trzeciém przestaniu stanęli przed Leszczyńskim, czytać było można: **sis columna Dei** (bądź podporą wiary). Po czwartém przestawieniu ułożyły się wyrazy: **mane sidus loci** (zostań gwiazdą naszą). Po piątém nareście przetańczeniu czytałeś: **i scande solium** (idź na tron wstąpić). Zmiany tych figur podobały się bardzo Leszczyńskiemu, tem bardziéj, że mu pochlebiały. Lecz anagramat ten pozostał sławnym przez to, że z trzynastu liter dało się ułożyć pięć zdań, które w ścisłym z sobą zostają związku, a co więcéj, że ostatnie zdanie zawierało w sobie przypadk we proroctwo, bo Leszczyński wstąpił rzeczywiście na tron, czego jednak wówczas nikt przewidzieć nie mógł.

Na weselu Jana Zamojskiego z Gryzeldą, synowicą Stefana Batorego, wyprawiono na rynku krakowskim taką maskaradę. Mikołaj Wolski, miecznik koronny, jechał na wozie pozłocistym z pocztem po murzyńsku ubranym; z przodu na wozie stała prześlicznéj urody panna, wsparta na tarczy z herbem Zamojskich, z tyłu unosił się orzeł biały z napisem na koronie **Stephanus**. Za panną postępowali mężowie po murzyńsku przybrani w pancerzach i wieńcach, a za nimi kroczył słoń, dźwigając na grzbiecie wieżę, z któréj dawano sztuczne ognie. Następnie jechał Mikołaj Zabrzydowski na wozie ciągnionym przez mityczny **Dzień** i **Noc**. Dwanaście godzin dnia przedstawiało dwanaście dzieci biało ubranych, podczas gdy ciemne nocy godziny reprezentowało tyleż dzieci, przybranych w czarne atłasowe szaty z rozsianemi po nich gwiazdami. Pierwsze po prawéj, drugie po lewéj stronie, łańcuszkami z sobą połączone, miały zegarki, czyli klepsydry na głowach. Powoził stary mityczny **Czas** również z dużą na głowie klepsydrą. Sam Zabrzydowski przedstawiał **Saturna**, z siwą długą brodą, z kosą w jednéj, a złotą banią w drugiéj ręce. Za nimi jechał na wozie **Jowisz** i **Minerwa**, trzymająca gniazdo z orłem białym. Powóz toczył się na kołach, obłokiem z bawełny wyrobionym okryty; ciągnęły go trzy osły. **Jowisz** rzucał pioruny na wszystkie strony. — Nieszczęściem przez niezgrabne rzucenie piorun zapalił obłok z bawełny i zaledwie bożek i bogini z życiem uciec zdołali.

Tańce rycerskie czyli turnieje, albo jak je późniéj nazywano, kadryle, miały po największéj części charakter boju. Rycerze na nich występujący mieli twarze zakryte przyłbicą, tak iż walczący z sobą poznać się nie mogli i dopiero zwyciężony przed zwycięzcą uchylał przyłbicy. Z okazyi takich to gonitw na zamku krakowskim poległ Wapowski z ręki Zborowskiego, gdy się ostatni po uchyleniu przyłbicy przekonał, iż z namowy Wapowskiego ciura z nim walczył. Ostatni taki w Polsce taniec urządził Stanisław August przy odsłonieniu pomnika Jana III w Warszawie r. 1788. Za długo byłoby opisywać cały ten, jak go wówczas zwano, wspaniały **kadryl**, na który ciekawość oprócz przeszło stu pojazdów sprowadziła do Łazienek tak wielkie mnóstwo ludzi różnego stanu, że pospólstwo, nie mogąc się tam pomieścić, gdzie się znajdował król z dygnitarzami i damy, okryło wszystkie pagórki okoliczne Łazienek. Zebrane tłumy liczono na 30,000 głów.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

**Do dzisiejszego numeru dołączony jest Nadzwyczajny Dodatek.**

# DODATEK NADZWYCZAJNY

## do No. 17 „SOBÓTKI.“

**Rok I.** **Sobota, dnia 24 Kwietnia 1869.** **Nr. 2.**

## Cztery myśli czterech poetów*).

Przeglądając album utalentowanéj i znanéj autorki, pani Wilkońskiéj, spotkaliśmy między innemi prześliczne cztery oddzielne wierszyki czterech znanych poetów naszych. Prócz poetycznéj wartości, tak rzadkiéj w bieżącéj literaturze, poezye te wyborny i pełen wdzięku przedstawiają obraz rozwoju społecznych wyobrażeń naszych.

Na pierwszém miejscu spotykamy znanego historyka, poetę, Antoniego Czajkowskiego. Urodził się on w początkach bieżącego stulecia, wychował się wśród żywych tradycyi Polski szlacheckiéj i gminowładnéj, kształcił się zaś w jednéj z najświetniejszych epok literatury naszéj Wszystkie te dodatnie i względnie ujemne strony przebijają się w każdym wyrazie utalentowanego poety historyka. Od r. 1847 zajmował on katedrę historyi prawa polskiego w uniwersytecie petersburgskim. Wykłady jego prócz gruntownéj nauki odznaczały się idealną miłością dla owéj Polski, w któréj tylko szlachcic na zagrodzie był równy wojewodzie, owéj Polski z liberum veto, z butą Paskowską, bez podatków i z pospolitém ruszeniem. Lekcye jego, jeżeliby mieć mogły ujemną stronę, to tą chyba tylko była niesystematyczność. Wchodził zwykle na katedrę z zapowiedzeniem rozbioru suchych artykułów konstytucyi polskich, od których nagle imaginacyą poety uniesiony zwracał się do żywych obrazów kroniki Gallusa lub do ulubionéj równości szlacheckiéj. Nieraz część lekcyi schodziła na improwizacyach rymowanych, opiewających sławę Modrzewskich, Jana Zamojskiego i innych obrońców szlacheckiéj Rzeczypospolitéj. Wykłady jego pociągały i w zachwyt wprowadzały młodzież polską, którą, jak sam profesor wyrażał się, przedewszystkiém chciał nauczyć cenić i kochać ojczyznę, — „bo ta Polska, mówił Czajkowski, nie niemiecka w handlu, nie angielska w Indyach, lecz ojczyzna matka, w któréj bogaty ma od Boga, ubogi ma u Boga, a wszystkich żywi to ziarno boże — zboże.“ Prace poetyczne Antoniego rozrzucone po różnych pismach peryodycznych, w swoim czasie z zapałem były chwytane. Są to małe obrazki, pełne wyższego polotu, formy udatnéj i myśli głębszéj. Większy zbiór wyszedł w Warszawie pod tytułem: „Niektóre Poezye,“ a w kilka lat potém, w 1846 r. „Poezye,“ wielką zyskały popularność. Prócz oryginalnych utworów położył on zasługę znakomitemi przekładami poetów obcych, które na nieszczęście po większéj części dotąd zostają w rękopismach.

Poezya była dla niego w ciągu życia pracowitego raczéj rozrywką, niż główném zadaniem. Dnie całe spędzał nad spleśniałemi kronikami i na ciągłych w korespondencyi sporach historyczno-prawnych z Lelewelem, Helclem, Maciejowskim i innemi znakomitościami tego rodzaju. Kilka takich turniei naukowych umieszczonych było w Bibliotece Warszawskiéj. Reszta zaś w nieładzie w kufrach spoczywa. Wielką byłoby stratą dla literatury ojczystéj, gdyby prace jego miały w obcych i obojętnych rękach zaginąć. Lecz los tych skarbów zostawmy przyszłości i przejdźmy do albumowego wierszyka, w którym poeta Polskę szlachecką widzieć pragnie. Mówi on:

„Chesz pamiątek? więc w pamięci
Niech się stara Polska święci,
Lecz rodzima — nie niemiecka,
Więc nie szewska, lecz szlachecka.
Owdzie szlachta, jak oliwa,
Po wierzchołkach tylko pływa,
U nas szlachta, to kość z kości,
Gminowładna wśród miłości.
U nas szlachta nie oliwą,
Ale z ludem jedno piwo,
Co to cicho pływa w kadzi,
Ale korek wnet wysadzi.“

W tych kilku wierszach poeta dokładnie scharakteryzował przekonanie swoje. Polska, nie szewska, lecz szlachecka i gminowładna wśród miłości, oto ideał poety!

Za tym pełnym wdzięku wierszykiem następuje odpowiedź lirnika mazowieckiego Lenartowicza. Polska szlachecka już nie zgadza się z przekonaniem wychowańca miasta. Teofil bowiem, jakkolwiek opiewający życie ludu, wyszedłszy z łona mieszczan warszawskich i wychowawszy się w ideach więcéj ogólnych, niż idee Antoniego, pragnie widzieć Polskę nie w szlachcie tylko, lecz i w tych, którzy piórem lub szydłem służyć jéj pragną. Oto co mówi poeta:

„Żeby pracę uprzytomnić,
Czyliż wam ją trzeba wspomnieć?
Ten się pewno w niéj ociąga,
Komu radzi wspominają. —
Więc choć różne piewce grają,
Jabym nie dał i szeląga
Za ich pieśni zachęcania,
Do stałości, do wytrwania. —
Róbmy jako Bóg przykazał
Bez przypomnień, bez czułości,
Jako Chrystus grzechy zmazał,
Tak my zmażmy błąd starości.
Lecz po szewsku, nie szlachecku,
I po polsku, nie niemiecku,
Z piórem, z szydłem, z czem kto może,
Daléj dziatwa — pomóż Boże!“

Któżby nie rozpoznał w tym obrazku twórcy Zachwycenia, Błogosławionéj i Lirenki. Taż sama co zwykle miękka słodycz, taż sama wiara w ducha narodu i taż sama nie sztuczna, lecz pełna świeżości i prostoty naiwność. Jest on jednym z tych szczęśliwych poetów, którzy umieli ton wydobyć ze strony mającéj oddźwięk we wszystkich warstwach społeczeństwa naszego. Czy to nad Wisłą, czy nad Niemnem, Sanem lub Gopłem, w pałacu lub przy warsztacie rzemieślnika, jego Lirenka i Kalina równą gościnność znajdzie. Od pewnego czasu mniéj często dzwoni nam piewca mazowiecki, bo troski życia tułaczego zmusiły go lutnię na dłuto rzeźbiarskie zmienić. Lecz i w tym zawodzie nie przestał być mistrzem co czytelnicy Sobótki już mieli sposobność ocenić. (Przejście Izraelitów przez Jordan Nr. 10).

Po roku 1848 poeta nasz zmuszony był szukać schronienia w gościnnéj Francyi, gdzie aż do roku 1854 bawił. Wspólny tułaczom niepokój ducha i myśl ciągła o Polsce, o owym raju utraconym, pchnęła go szukać szczęścia za górą. Czy z planu czy téż może z wypadków niezależnych, droga prowadziła za Alpy — do Wiecznego Miasta. Lecz i tu niedługo poeta ba-

*) Składamy publiczne podziękowanie pani Wilkońskiéj za łaskawy dar, jakim pismo nasze zaszczycić raczyła. Przyp. Red.

wił, gdyż atmosfera fizyczna a nawet i duchowna nie przyniosła dla słabego zdrowia tych korzyści, jakich się po niéj spodziewał. Ciężko zapadłszy na zdrowiu, prawie bez nadziei ratunku przeniósł się do Florencyi, gdzie wnet siły odzyskał. Widocznie piękna stolica Toskanii, ojczyzna Danta i Michała Anioła, odpowiada więcéj potrzebom ducha i ciała poety, gdyż dotąd w niéj pozostaje. Dziś już tęsknota za łanami Mazowsza nie musi być tak dotkliwą, ponieważ przed laty ośmioma zaślubił Polkę dzielącą z nim smutne chwile wygnania. Jest to utalentowana malarka z domu Zofia Szymanowska, siostra przyrodnia Adamowéj Mickiewiczowéj.

Głównem zajęciem Lenartowicza jest przekład Boskiéj komedyi Dantego, z którego kilka próbek drukowanych było w Gazecie Warszawskiéj. W ostatnich czasach ogłosił on małą cząstkę utworów mniejszych po dziennikach warszawskich, galicyjskich i poznańskich. Jego pieśni wiejskie znalazły godnego tłómacza w muzyce Ignacego Komorowskiego. Nie wiem, czy kiedy dwóch różnego rodzaju artystów, jak Teofil z twórcą Kaliny, mogło się więcéj wzajemnie uzupełniać.

Rzewny wierszyk Lenartowicza zdwaja wartość w tonach Komorowskiego i na odwrót melodye Komororowskiego potęgują się w wieszu Lenartowicza. Jeden z nich już dziś w grobie, a drugi tęskni pod błękitném niebem Włoch za szarém niebem Mazowsza.

Po Antonim z Polską szlachecką i po Teofilu z ojczyzną warsztatową, następuje poeta i wierszopisarz, Włodzimierz Wolski. Komuż jest obcym Ojciec Hilary, Domek przy ulicy głębokiéj, wdzięczne libreto Halki i w końcu komuż z mieszkańców Warszawy obcą jest pełna oryginalności osobistość Wolskiego. Wychowanie pobierał Włodzimierz już w epoce rządów samowładnych Moskwy, w smutnéj epoce Polski porewolucyjnéj. To też pomimo bez zaprzeczenia wielkiego talentu w utworach i życiu Wolskiego widać brak silnych podstaw, na których myśl poety mogłaby bez dysharmonii śmiało w górę szybować. Zawsze świeża i powabna Halka razi nas myślą zasadniczą, myślą rozdrażniającą zabliźniające się rany przeszłości, rany, do których ognia dorzucać już dziś nie godzi się. „Przyszedł panicz i otumanił gołąbeczka, jak śnieg białego.... gołąbeczka z ludu.“ Oto treść główna jednego z najpopularniejszych melo-dramatycznych utworów polskich. Nie przeczymy, że klasa uprzywilejowana w Polsce mogła zawinić niesprawiedliwością względem ludu wiejskiego, lecz spartańskie wychowanie republikańskiéj szlachty odpychało myśl, którą poeta w Halce chciał jéj przypisać. Nie dość na tém, Wolski, jak drugi Marat, pragnie zemsty na wnukach za winy dziadów! Lecz pozwólmy poecie mówić:

„Jakiéjś dziwnéj pieśni chcecie,
To barwistéj, to jałowéj,
Niby wiecie i nie wiecie,
Że pieśń serca mówi słowy,
A choć wrzawa, strach i bieda
Serca głos stłumić się nie da.
Temu przeszłość jak oliwa
Wciąż po wierzchu myśli pływa,
Drugi mówi trocha twardziéj,
Całą młodych mar swobodą,
Całą piersi siłą młodą,
Czynu woła, ale gardzi
Matką swoją, pieśnią gardzi,
Pieszczot jéj nie pomny syn.
A wiecież, co wywoła czyn?
Pieśń to jedna tylko broń. —
Lecz, żeby jéj twardy dźwięk,
Paląc serce, zbroił dłoń,
Nie po pańsku i niemiecku,
Nie po szewsku i szlachecku,
Lecz po chłopsku z sierpem, z kosą,
Tnąc kolczastych chwastów pęk,
Kiedy dziewki snopy niosą,
Mazowiecką nutą oną,
Grzmijcie — aż ta Wisła stara
Zarumieni się czerwono,
Aż jéj brzegi hukną głośno
I bolesno i radośno:
Naprzód chłopcy! Naprzód wiara!“

Jakżeż bolesny i dyssonansowy dźwięk wydają te kilka wierszy poety pragnącego Wisłę krwią bratnią zafarbować! Uczucie polskie ze wstrętem odpycha myśl jego niegodną, myśl, która nigdy gruntu odpowiedniego u nas nie znajdzie.

Przed kilkoma tygodniami doszła nas wiadomość o śmierci utalentowanego poety. Zmęczony szaloném życiem, strudzony błądzeniem po manowcach, na jakie go okoliczności wprowadziły, umarł, nie wierząc i nie kochając nic prócz ojczyzny, dla któréj miłość z wierzchołków Alp do ostatniéj chwili opiewał. Jakkolwiek nie zgadzamy się z przekonaniami poety, umiemy jednak uszanować jego miłość ojczyzny i talent w dobréj wierze dla niéj poświęcony. Umarł na obcéj ziemi, na ziemi gościnnéj Helwecyi w obec kilku współtułaczów przypominających mu ojczyznę utraconą. Do żalu i westchnień przyjaciół poety dołączamy i nasze, kończąc wspomnienie o nim słowami wieszcza „Psalmów przyszłości.“

„Przeciw piekłu podnieść kord,
Bić szatanów czarny ród,
Rozciąć szablą krwawy knut
Barbarzyńskich w świecie hord!
Lecz nie nęcić polski lud,
By niósł szlachcie polskiéj mord!
Marne wrzaski, próżne mowy,
Z krwi i błota stary świat!
My do innych idziem lat
Promień z niebios spadł już nowy.
. . . . . . . . . . . .
Hajdamackie rzućcie noże!
A gdy zagrzmi — o żniw porze,
Wtedy naprzód w imię Boże!
Bierzcie szable, sierpy, kosy,
Dać żniwiarzom wszystkim grunt,
Rozpłomienić święty bunt.“
. . . . . . . . . . . .

Po Czajkowskim, Lenartowiczu i Wolskim na czwartéj stronie albumu pani Wilkońskiéj następuje prześliczny wierszyk, który za koronę trzech pierwszych uważamy. Poeta bowiem wyprowadził nas z labiryntu, w jaki przez poprzedzających wepchnięci zostaliśmy. Prócz formy starannéj, myśl każda trafia do przekonania czytelnika, bo, mówi poeta, żeby rozszarpać harpię biedy, trzeba jedności, a tę jedność tworzy się nie pod sztandarem dyplomów szlacheckich, warsztatów lub kos, lecz pod sztandarem pracy dla ojczyzny. Wszyscy więc przynoszący cegiełkę do téj wielkiéj budowy, nosić winni nazwę nie szlachty, nie szewców i nie chłopów, lecz jedno wielkie imię Ludzi! To tylko jedno godło zjednoczyć nas w jedno ciało może i pod tém tylko godłem praca owoce pożądane wydaje.

Oto w następujących wyrazach tę myśl wielką poeta przedstawia:

„Trzech tu wieszczów, potroiście
W trzy bardony się ozwało;
Pierwszy wyrzekł uroczyście,
(A papiście tak przystało.)
Że nie ze krwi, z serca bicia,
Świętych rzeczy miłość wstaje,
I symbolem zrobił życia:
Dyplom, co szlachectwo daje!!
Drugi szewców od warsztatu
Chce oderwać, by szydłami
Wywalczyli wolność światu!
A ostatni znów z chłopami
Chce po chłopsku szczęście stworzyć,
I historyzm wraz z berłami
W demagogii dłonie złożyć!
Ja was bracia nie pojmuję,
Ni różnicy stanu wtedy,
Kiedy dłoń się z dłonią skuje,
By rozszarpać harpię biedy!....
Wtedy wszyscy, co powstają,
Każdy, w kim się życie budzi,
Wszyscy jedno imie mają,
Jedno wielkie imię Ludzi....
Więc nie działać po szlachecku,
Chłopsku, szewsku ni niemiecku,

Lecz po ludzku! z prawdą, z wiarą,
Z anielskiemi pojęciami,
Myśl swobody, Matkę starą,
Wypiastować, by czynami
Omłodniała i ożyła
Piękna jak w dniach wiosny była!
Życie, znaczy się czynami,
Śmierć, bezwładność ma wyrazem,
My więc bracia, my pieśniami
Walczmy razem, zawsze razem.
Bo co zmarło, to niech gnije,
Lecz co żywe, niechże żyje!

Myśl wielka! myśl szczytna! myśl godna wieszcza Polskiego! Chwytaliśmy z zapałem i rozkoszą wyraz każdy, bo każdy z nich oddźwięk w duszy znajdował. Lecz w końcu, jakby dla wydarcia wiary w prawdę słów wieszcza, spotykamy nazwisko, które wolelibyśmy milczeniem pominąć... nazwisko, noszące na sobie piętno hańby!... Aleksander Niewiarowski, współpracownik Dziennika Warszawskiego... przed laty wołający o pracę z prawdą, wiarą i anielskiemi pojęciami, by wypiastować myśl swobody! Aleksander Niewiarowski dziś zaprzedany nieprzyjaciołom wiary, prawdy i swobody! Któż z nas nie dozna boleści na myśl, że tyle talentu i tyle ducha bożego na nieurodzajną glebę rzuconego zostało. Któż z nas nie westchnie, by Opatrzność przebaczyła temu z pośród nas, który się wyrzekł prawdy i swobody, wyrzekł się braci.... co więcéj, wyrzekł się samego siebie?!

Niewiarowski początkowe nauki pobierał w Warszawie. Pierwsze jego wystąpienie w Przeglądzie naukowym i w Słowie literackim zapowiadały już wiele zdolności. Od roku 1846 do 1850 bawił za granicą, a po powrocie do kraju wydał szereg powieści z zapałem wówczas czytanych. Z pomiędzy tych, według zdania Michała Grabowskiego, Laokoon najwięcéj jest cenną. Głównie jednak popularność zjednały mu artykuły pod znakiem gwiazdki w Gazecie Warszawskiéj pisywane. Nikt z warszawskich feletonistów nie wyrówna lekkości i elegancyi pióra Niewiarowskiego. Ten rodzaj jest najwięcéj talentowi jego odpowiedni. Do roku 1863 redagował Pszczołę, następnie Kuryera Niedzielnego, pismo, którego treścią miała być humorystyka. Po roku zaś 1863 objął dział feletonu w Dzienniku Rządowym! Przebacz mu Panie, bo nie wie, co czyni! W. Hł.

## Kobiety w Rosyi.

Jeżeli co dozwala wątpić o przyszłości Rosyi, to ogólny upadek moralności w narodzie moskiewskim, a mianowicie skażenie obyczajów między kobietami. Wyobrażenia, zwyczaje i obyczaje, urągające prawom boskim i ludzkim, rozszerzające się zarazą w wyższych warstwach narodu moskiewskiego, nie tylko oddziaływają na kobiety, ale są równocześnie przez nie same popierane i rozwijane. Kobietę znajdziesz w Rosyi wszędzie — w domu i w kościele, na zgromadzeniach publicznych i w zabawach prywatnych, na zebraniach naukowych i posiedzeniach towarzystw dobroczynność mających na celu — zawsze jednę i tę samą, przekraczającą granice swego stanowiska i zadania, pozbawioną wszelkiego delikatniejszego poczucia, wszelkiéj wstydliwości, szydzącą z wszelkich zasad moralnych. Jeżeli w innych narodach szczęście i postęp narodowy opierają na moralném wychowaniu kobiet, to upadku Rosyi szukać należy niewątpliwie w niemoralném ich kształceniu. Kierunek ten jest tém niebezpieczniejszy, że znajduje poparcie właśnie w téj klasie społeczeństwa moskiewskiego, która obecnie kieruje opinią publiczną w Rosyi. Jestto tak zwane stronnictwo Maładaja Rasija. Dla stronnictwa tego nie ma religii, nie ma własności, nie ma rodziny, bo to wszystko, zdaniem jego, krępuje wolność człowieka. Społeczeństwo moskiewskie wprzód musi być wolném od tych więzów, twierdzą ci ludzie w swém zaślepieniu, by mogło pomyśleć o reformie politycznéj. Walka więc własności, religii i rodzinie. Kobieta w Rosyi, przez długi czas znosząc większą, niż gdzie indziéj, niewolę, większą i prędszą nagrodę mieć winna, — a zatém trzeba dla niéj wolności i zupełnego równouprawnienia. Ponieważ Rosya zbyt przesiąkła zgniłemi zasadami Zachodu, na silną więc chorobę silnych należy użyć lekarstw. Z nożem i ogniem narodzie przeciw wszystkiemu, co ideałowi rosyjskiemu stoi na przeszkodzie. Sztandarem naszym „miecz i ogień.“

Gdyby w którymkolwiek bądź narodzie europejskim zasady podobne wygłaszano, ściągnęłyby one na siebie klątwę wszystkich warstw społeczeństwa; w Rosyi przeciwnie. Od pierwszéj chwili z dniem każdym mnożyli się stronnicy moralnego chaosu, między którymi kobiety pierwsze miejsce zajmowały. Pod pozorem nauki wyjednały one sobie wstęp do uniwersytetu. Że to tylko był pozór, to każdy, kto zna wykształcenie kobiet moskiewskich, przyznać będzie musiał. Prócz znajomości dokładnéj dwóch języków obcych i umiejętności pisania i czytania kobieta moskiewska z małym wyjątkiem wyżéj wykształceniem sięga. Zkądżeż więc nagle mogła się znaleść gorączkowa chęć do nauki, która nawet formą nie była im przystępną? Nie nauka była powodem, lecz uprawniona możność puszczenia wodzy obyczajom, których cywilizacya jak ognia świętego strzeże. Napływ kobiet na wykłady uniwersyteckie był nadzwyczajny. Wszystkie audytorya, nawet te, gdzie matematyka była wykładaną, w trzeciéj części przepełniały się płcią piękną. Wszystkie z tych studentek były pannami, przychodziły jednak i przepędzały dnie całe w gronie młodzieży, bez opieki starszych osób. Właśnie ten punkt był najgłówniejszym, bo chodziło Młodéj Rosyi o wydobycie kobiety z pod jarzma rodziny. A że nawet ubranie męskie uważano jako pewnego rodzaju przywilej, zmieniono więc długie włosy na krótkie, trzewiki na buty, suknie na surduty. Większa część stronniczek nihilizmu należała do arystokracyi petersburgskiéj. Znałem między niemi księżniczkę Tołstoj, hrabiankę Krüger i baronessę N. Są to imiona nietylko w Petersburgu, lecz nawet w całéj Rosyi dobrze znane. Trudno sobie wyobrazić chaos, jaki od wstępu kobiet w mury uniwersyteckie tam zapanował. Kurytarze i poważne audytorya zmieniły się w salony, gdzie młodzież ubiegała się o zdobycie łask emancypantki, ta zaś o większą ilość wielbicieli. Na wykładach niektórzy z profesorów popisywali się wyrażeniami lub przedmiotem obrażającym ucho dobrze wychowanéj kobiety. Nie wywoływało to jednak rumieńca na twarzach nihilistek, przeciwnie, każdą myśl podobną notowały one skwapliwie do zeszytu na ten cel przeznaczonego. Na zebraniach studentów, gdzie radzono o potrzebach materyalnych i moralnych młodzieży, kobiety okrzykami pełnemi uniesienia potakiwały ulubionym mówcom, lub przeraźliwém sykaniem przeczyły innym. Młodzież z zapałem przyklaskiwała każdéj wyróżniającéj się więcéj ekscentryczności, gdy tymczasem zło i brud rósł do potęgi. Lecz co było najgodniejszém podziwu, to niemoc rodziców stawienia oporu temu szalonemu prądowi. Jeżeli nie przekonanie to przynajmniéj wrodzony instynkt rodzicielski powinien był dostarczyć sił dla powstrzymania od pewnéj zguby dziecka. Nie przypuszczam, by tego instynktu matki nihilistek pozbawione były, lecz z drugiéj strony widziałem przykłady, gdzie matki ułatwiały córkom drogę prowadzącą do najsmutniejszych następstw. Prawie każda z nihilistek miała przy pokojach rodzicielskich

mieszkanie własne. Rodzice wyjeżdżali wieczorami na bal lub teatr, a córka spraszała kolegów i koleżanki na tak zwaną herbatkę literacką. Pokoje ubrane były z eleganckim nieładem, podobnym nieładowi główek pięknych nihilistek. Na ścianach portrety Dantego, Marata, Robespierra, Iskandrza i tym podobnych krwiożerczych bohaterów ludzkości. Na stole najświeższe numera Młódéj Rosyi, krytyki na cywilizacyą Zachodu, na Piotra Wielkiego i naśladujących jego reformatorów, broszury o potrzebie stworzenia cywilizacyi własnéj, rodzinnéj, moskiewskiéj. Wieczory te przechodziły wesoło, bo nikt nie czuł, że niewinna zabawka w skutkach tak okropną będzie, a w końcu wiek młody i gościnność gospodyni ożywiała zawsze i wszystkich. Szczególnym zbiegiem okoliczności miałem sposobność być na jednym z podobnych wieczorków. Wyniosłem z niego wrażenie okropne. Śmiech, zabawa, dysputa, szyderstwo ze wszystkiego, co człowiek za święte uważać winien, stworzył w wyobraźni mojéj obraz podobny sławnemu obrazowi Holbeina, w którym przedstawia szaloną muzykę i pary tańcujące, nie ludzi lecz kościotrupów. Myśl do tego obrazu, jakkolwiek w trupach już ciała pozbawionych, jednakże nieskończenie wymownego, dała Holbeinowi zaraza w jedném z miasteczek niemieckich, zaraza, któréj uległa cała ludność, gdy resztki, widząc smierć nieuchronną, oddały się zabawie wściekłéj, szalonéj.

Na tych wieczorkach literackich i w ogóle we wszytkich ich działaniach młodzież polska udziału nie brała, jakkolwiek nie byłaby źle tam widzianą. Wszystkie te wybryki szalonych głów działy się publicznie, a rząd najmniejszym ze swéj strony krokiem nie starał się im przeszkodzić. Czegoż spodziewać się po narodzie, którego kobiety w ten sposób się bawią, gdzie prawie dosłownie bezwstyd staje się moralnością? Hł.

# ROZMAITOŚCI.

### Instynkt czy rozwaga?

Zapalony myśliwy, posiadałem przed kilku laty wyżła, który się w całym psim rodzie szczególną odznaczał roztropnością. Skok — tak się bowiem ów wyżeł wabił, towarzyszył mi zawsze regularnie na moich przechadzkach do pobliskiego lasku i biada było jeżowi, jeżeli się gdzie w okolicy naszéj znajdował, — nie przyznał mu on nigdy prawa obywatelstwa na bożéj ziemi i zawsze na śmierć zagryzał. Pewnego dnia, gdym lasek przeszedł i stanął nad brzegiem jeziora, Skok wytropił gdzieś pod krzakami jeża, który prawdopodobnie uprzedzony od swych pobratymców o strasznym nieprzyjacielu jego rodzaju, zwinął się w kłębek i Skokowi wystawił spiczaste kolce. Skok, dotąd szczęśliwie wojujący z jeżami, kilkakrotnie usiłował i tego pokonać, ale nadaremno, pokaleczył się bowiem tylko i pokrwawił. Bawiło mię to początkowo, ale niezadługo zaczęło mię zastanawiać, gdy pies cofnąwszy się o kilka kroków, przysiadł na tylnych łapach i zdawał się czekać, dopóki się jeż nie rozwinie. Tymczasem i jeż był nie mniéj roztropny, trzymał się bowiem ciągle kłębkiem. Skokowi snać się znudziło, zbliżył się bowiem powtórnie do jeża, zaczął go obsypywać gęsto liściami, a potém uchwyciwszy go delikatnie, powiewając piórem, zaniósł do jeziora. Jeż chciał się oczywiście dostać do brzegu, ale zaledwo pokazał mały ryjek, skok dopadł go i zgotował mu w jeziorze krwawą kąpiel. Instynkt czy rozwaga? Gr.

— * W pierwszych dniach października r. 1868 poszedłem z rana na pole do ludzi wybierających kartofle. Skoro słońce jaśniéj zaświeciło i mgła opadła, spostrzegłem na miechu kartofli cały rój pająków, które nie wiem skąd zaczęły się coraz liczniéj zgromadzać. Towarzystwo musiało być swoje i dobrane, bo szczególniejszą między temi zwierzątkami dostrzegłem ruchliwość i wesołość. Biegały w prawo i w lewo, witały się długiemi łapkami, inne znowu główki pospuszczawszy stały przez dość długi czas spokojnie, jak gdyby w zamyśleniu, jak gdyby chciały słońcu poranne bić pokłony. Naraz spostrzegłem, że pewna część tego wesołego towarzystwa gdzieś się wyniosła. Oglądając się w prawo i w lewo, spostrzegłem nareszcie płynącą w powietrzu tratwę uprzędzoną z pajęczyny, na któréj znajdowało się kilkanaście pająków. Gdy mi ta napowietrzna gondola z oczu zniknęła, zacząłem tém pilniéj obserwować resztę pająków na miechu i przekonałem się ku mojemu zadziwieniu, że te z nich, które spokojnie stały, wydawały z siebie pajęczynę, puszczały licznemi nitkami na wiatr, który te nici z sobą wiązał. Gdy siatka była z grubszego usnutą, wchodziły na nią ruchliwsze pająki i zaczęły ją w poprzek dzierzgać. Tak powstała w moich oczach napowietrzna tratwa, na któréj resztka ciekawego towarzystwa w daleki świat odpłynęła. Podobne spostrzeżenia robiłem kilkakrotnie później i powziąłem przekonanie, że, co nazywamy babskiém latem, nie jest niczém inném, jak balonem pająków. Gr.

### Szarada.

Moje pierwsze w alfabecie,
Nie tak trudne, — zgadniesz przecie.
Jak ci drugiém kto odpowie,
Zmartwi, chociaż w jedném słowie.
Jeżeli grasz na fortepianie,
Znajdziesz trzecie moje w gamie.
Wszystko szukaj w kalendarzu,
Zgaduj prędzéj — oj! nudziarzu!

(Rozwiązanie szarady w nr. 16: *Bezkrólewie.*)

## Wiadomość o nowych książkach.

Abrahamowicz, D. Zbrodniarz. Obrazek dramatyczny w czterech aktach, oryginalnie napisany. Lwów. 8vo. 88 str. 18 sgr. Cały czysty dochód przeznaczony na korzyść szkoły polskiéj w Batignolles.

Łoziński, Władysław. Czarne godziny. Powieść współczesna. Lwów. Wild 16ce. 423 str. 1 tal. 22½ sgr.

Ogień miłości Jezusa Chrystusa, czyli dowody gorącéj ku nam miłości Zbawiciela, w dziele odkupienia naszego. Przekład z francuzkiego. Wilno. Zawadzki. 16ka. 523 str. 1 tal. 5 sgr.

Przygody Rufina Piotrowskiego na Sybirze, opowiedział dla ludu ks. pleban z pod Śremu. Poznań, nakładem Mieczysława Leitgebra. 18ska. 139 str. Kartonowane 7½ sgr.

**Mieczysława Leitgebra.**
Księgarnia i wypożyczalnia Nut.

### PUSZKA DO LISTOW.

Pani H. Pt. w Kos: Pięknie dziękujemy. — Pani S. K. w Rzegocinie pod Turn. w Galic. Zgadzamy się zupełnie, że królowa Izabella jest „przewrotnicą“, dla tego téż nie chętniebyśmy ją widzieli w naszych szaradach. Ażeby jednak znakomita Pani szarada nie została bez użytku, prześlemy ją w odpisie do Paryża panu Morfori, zachowując dla siebie oryginał. — Panu M. K. w P.: — laudanda voluntas; ponieważ Pan twierdzisz, że każdy początek trudny, odczekamy więc ostatniego zeszytu Pańskich poezyi.—Panu W. W. w P.: Nadesłane wierszyki nie źle się czytają. — Panu Edypowi z Gądek: Treść Pańskiego listu nie zdradza wcale pańskiego pochodzenia. Użyjemy. — Panu S. B. w Ostr. Nie możem się domyślić. Za nadesłane dziękujemy. — Panu J. Sz. w Stan. Wcale nie złe.

***Wszystkim tym Szanownym Abonentom którzy dopiero z drugim ćwierćroczem zamówili pierwszy kwartał „Sobótki“ donoszę uprzejmie, iż z powodu zupełnego wyczerpnięcia pierwszego nakładu powstała zwłoka w ekspedycyi tych zamówień. Obecnie ukończony druk nowego wydania pierwszego kwartału, a wszelkie zamówienia zostały wyekspedytowane.***

***Zarazem upraszam Szan. Abonentów o rozprzestrzenienie Sobótki w kole znajomych, a skoro tylko liczba abonentów chociażby tylko o 1000 jeszcze wzrośnie, będziemy mogli częściéj dawać dodatki i tylko oryginalne zamieszczać ryciny.***

**Mieczysław Leitgeber**, nakładca.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ulica nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu.
Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.